

Bartosz Jastrzębski: Batalia o sens ostateczny

Katolicyzm ma zatem filozoficznie i teologicznie legitymizowalne prawo do tego, by być w świecie, w kulturze i społeczeństwie, przekształcać je, zmagać się z nimi i wywierać nacisk, po to wszakże, by umożliwić im właściwe samorozumienie - pisze Bartosz Jastrzębski

„Chociaż bowiem w ciele pozostajemy, nie prowadzimy walki według ciała, gdyż oręż bojowania naszego nie jest z ciała, lecz ma od Boga moc burzenia twierdz warownych. Udaremniamy ukryte knowania i wszelką wyniosłość przeciwną poznaniu Boga, a wszelki umysł poddajemy w posłuszeństwo Chrystusowi” (2Kor 10,3-5)

Nadszedł już chyba najwyższy czas na wielką duchową batalię o sens ostateczny, czyli na odnowienie chrześcijańskiej kultury i cywilizacji. Na odzyskiwanie traconych w ciągu ostatnich trzech wieków – a dziś całkiem spustoszonych i jałowych – sfer kultury, zagospodarowywanie myślowych ugorów, na ratowanie zagubionych umysłów – słowem, na rekonkwistę naszej duchowej Ojczyzny, która coraz słabiej prześwituje w widzialności. Nadszedł czas na dawanie odporu tym, co psują chrześcijańską naukę, pragnąc na siłę dostosować ją do świata, który wszak nieuchronnie w coraz głębszy popada kolaps – bo będąc coraz dalej od Boga z konieczności coraz bliżej jest Nicości. Nigdy zresztą nie było z „tym światem” inaczej jak tylko tak, że sam upadły i innych w dół ścigał. Przestrzegał wszak u zarania ery Apostoł: „Wszystko bowiem, co jest na świecie, a więc: pożądliwość ciała, pożądliwość oczu i pycha

tego życia nie pochodzi od Ojca, lecz od świata” (1J 2,16). Przyszedł tedy czas na walkę - o wszystko - z wysoko podniesioną głową, bez mdłych, małodusznych i tchórzliwych kompromisów, fałszywie przedstawiających się jako świadectwa φρόνησις. Na wyznawanie wiary w Jezusa Chrystusa bez trwogi, otwarcie: w polityce, kulturze, nauce, edukacji, wojsku, administracji i sądownictwie. Bez lęku przed zawstydzeniem, szyderstwem, społeczną pogardą, cynicznym chichotem, „zepsutym” wizerunkiem, wyzwiskami i stygmatyzacjami. Trzeba zawalczyć o Boga – takiego jak zechciał się On objawić w naszym zachodnim świecie – i duszę, taką, jaką została uformowana przez dziedzictwo hebrajskie, greckie i rzymskie. Nie chodzi przy tym oczywiście o utopijne próby stworzenia królestwa Bożego na ziemi: nie stworzymy go tu nigdy, bo ziemia - póki nie zostanie odnowiona Boskim tchnieniem – nie udźwignie ani Dobra, ani Doskonałości. Zbyt są kruche, zbyt szybko rozsypują się wszelkie materialne formy, by mogły reprezentować Wieczność. A nic mniejszego niż Wieczność duszy ludzkiej zaspokoić nie może.

Być może bowiem rację ma kardynał Burke[1], twierdząc, iż żyjemy u końca czasów. Nie wiadomo czy u kresu wszelkich czasów, czyli w obliczu ostatecznego grzmotu trąb i wylewania się czasz Bożego gniewu na lud wiarołomny i o kamiennych sercach – ale czasów naszych, eonu chrześcijańskiego, rzymsko-katolickiego. Proces duchowego i religijnego rozkładu, który toczy kulturę – a także duszę – europejską sięgnął tak głęboko, że przed nami zdaje się już tylko perspektywa bądź to całkowitej anihilacji katolickiej formy kulturowo-cywilizacyjnej bądź też zdecydowanej reakcji, „kontrreformacji 2.0”, by tak rzec, czyli potężnej mobilizacji i zrywu sił chrześcijańskich, działających już nie wstydliwie i trwożliwie, przepraszających niejako, iż wciąż jeszcze istnieją, ale ofensywnie, odważnie i niezłomnie. Prowincji ludzkiej trzeba przywrócić najpierw wiarę w Ordo, a

następnie przywrócić sam ten Ład, porządkując rzeczywistość kulturowo-społeczną według wartości, a tym samym nadając jej sens i cel. Na czym jednak ów zryw miałby dziś polegać? Co robić?

Prowincji ludzkiej trzeba przywrócić najpierw wiarę w Ordo, a następnie przywrócić sam ten Ład

W pierwszej połowie ubiegłego stulecia włoski myśliciel Antonio Gramsci ukuł koncept „marszu przez instytucje”. Ojciec

Dariusz Kowalczyk tak oto, lapidarnie i trafnie, streszcza ową ideę: „władza polityczna, wybierana raz na kilka lat, wcale nie musi być najważniejszym czynnikiem kształtującym społeczeństwo w dłuższej perspektywie. Tę prawdę zrozumiał i wyraził Antonio Gramsci (1891-1937), włoski filozof, komunista. Chcąc szerzyć komunistyczne idee, twierdził, że rewolucja nie może ograniczać się do zbrojnego obalenia ustroju i wzięcia władzy w ręce. Trwałe zwycięstwo będzie możliwe tylko wtedy, kiedy zmieni się radykalnie człowiek i społeczeństwo, przeobrazi system wartości, zaszczepi od dziecka nowe, postępowe idee. By to uczynić, trzeba zapanować nad systemem wychowawczym, szkołą, mediami, a także wspólnotami wyznaniowymi, by stały się „postępowe”. Jednym z głównych wrogów dla Gramsciego było chrześcijaństwo z jego konserwatywnym nauczaniem na temat moralności, małżeństwa, rodziny. Nie zmienimy świata jedną rewolucją – głosił włoski komunista – trzeba raczej przygotować się na długi, ale konsekwentny marsz przez instytucje edukacji i kultury, aby zdobywać tam coraz większe wpływy i krok po kroku kształtować społeczeństwa na modłę ideologii komunistycznej lub jej kolejnych mutacji. Gramsci

przekonywał, że trzeba nieustannie, przy wykorzystaniu wszystkich środków, powtarzać własne idee, bo tylko w ten sposób zapanuje się trwale nad umysłami ludzi”[2].

Otóż dziś potrzebny jest dla (dobrej) odmiany katolicki marsz przez instytucje. Dopiero gdy uda się odzyskać panowanie nad szkołami (szczególnie uczelniami wyższymi!), systemami medialnymi, instytucjami kultury, wydawnictwami, tytułami prasowymi, kapitułami nagród i zarządami fundacji będzie można myśleć o przywracaniu ładu życia opartego na odniesieniu do Transcendencji, na przywracaniu komunikacji człowieka Zachodu z jego własną poobijaną i znerwicowaną wewnętrżnością oraz z Tradycją, z której się wywodzi, a która – czy chce on tego czy nie – przez wieki go ukształtowała. Jest on przeto zobowiązany ją chronić i przekazać następnym pokoleniom. Jest to obowiązek religijny i narodowy. Ten pierwszy polega na ochronie depozytu zbawczej wiary, ten drugi – wytrwaniu w owej wierze wspólnoty, a zatem umożliwianie tej drugiej rozwoju poprzez nieustanne odnoszenie tego, co widzialne do tego, co wieczne, do wiecznego świata ducha. Pięknie o tych dwóch światach pisał kard. Newman:

„Istnieje świat dwojaki: świat – posłużmy się wyrażeniem Soboru Nicejskiego – rzeczy widzialnych i świat rzeczy niewidzialnych; świat, który widzimy i świat, którego nie widzimy. Świat, którego nie widzimy istnieje tak samo prawdziwie jak ten, który widzimy. O świecie który widzimy, wiemy, że istnieje ponieważ go widzimy. Trzeba nam tylko otworzyć oczy i spojrzeć, a mamy dowód: oczy nasze nam to potwierdzają. Widzimy słońce, księżyc i gwiazdy, ziemię i niebo, wzgórza i doliny, lasy i łąki, rzeki i morza. Widzimy także ludzi ich dzieła. Widzimy miasta, wspaniałe budowle i ich mieszkańców [...].

Wszystko to, co napotykają nasze oczy tworzy jeden świat, świat niezmierny, sięgający aż po gwiazdy [...]. Ale istnieje obok tego wszechświata, który widzimy inny świat, równie rozległy jak tamten, równie bliski nam, lecz o wiele bogatszy w cuda. Świat ten otacza nas dookoła, aczkolwiek go nie widzimy. Świat o wiele cudowniejszy od widzialnego, jeśli nie dla innego powodu, to choćby dlatego, że niewidzialny. Tysiące istot krąży dokoła nas. Zbliżają się i odchodzą, czuwają, działają lub czekają, a my ich niewidzimy. To jest świat, który tylko wiara przenika, nie oko”[3].

Na zastępy tych istot składają się dusze zmarłych i aniołowie, a może także inne jeszcze jakieś cudowne i subtelne istoty – może niebiańskie rośliny i zwierzęta? - których istnienia nie uznał Bóg za konieczne nam objawić. A słońcem niewidzialnego świata, dzięki któremu on istnieje, żyje i jest poznawalny – jest On sam, Bóg Trójjedyny. Musimy przeto stać się posłańcami owego Niewidzialnego Władcy, jego heroldami, apostołami i w końcu wojownikami. A winniśmy się nimi uczynić nawet gdyby żadnego Niewidzialnego w ogóle nie było. Bo świat, choćby tylko z ideą Boga, jest po prostu lepszy niż świat takiej idei całkiem pozbawiony. W liście do Natalii Fonwiziny z 1854 roku Dostojewski pięknie napisał: „gdyby ktoś mi udowodnił, że Chrystus jest poza prawdą, i rzeczywiście byłoby tak, że prawda jest poza Chrystusem, to wolałbym pozostać z Chrystusem niż z prawdą. Jednakże lepiej o tym nie mówić”. „Krzyżowcy” współczesności mogą tym słowom jedynie z całego serca przyklasnąć. Bóg jest, ale nawet gdyby Go nie było, samej Jego idei warto byłoby stworzyć domostwo w sercach i umysłach oraz pieczołowicie ją chronić, a także – w razie potrzeby - za nią zginąć.

A więc chrześcijański „marsz przez instytucje” nie ma na celu indoktrynowania, naginania sumień i zmuszania retoryką, perswazją czy jakąś niską zachętą do oportunistycznego przyjmowania wiary. Ma na celu „odwojowanie” przestrzeni publicznej, która – wbrew zapewnieniom zlaicyzowanych, lewicowych „tolerancjonistów” - nigdy neutralna nie była, nie jest i być nie może. Zawsze w dyskursie publicznym pojawia się „narracja hegemoniczna”, związana z mitem (w sensie semiotycznym) dominującym, wyznaczającym centrum i peryferie samorozumienia danej kultury i społeczeństwa. Przez wieki rdzeń owego samorozumienia oraz sposoby jego uzewnętrzniania w dziełach kultury wyznaczało katolickie chrześcijaństwo. Trafnie pisze o tym Dawson: „katolicyzm zawsze wywierał tego rodzaju zewnętrzny wpływ na kulturę. Stanowi on wysoce zorganizowaną i społeczną formę religii, wyrażając przy tym swe przekonania i dążenia na wszystkie dostępne materialne i duchowe sposoby. Stało się to jednym z naczelných zarzutów stawianych katolicyzmowi w przeszłości, zarówno w czasie reformacji, jak i – w jeszcze większym stopniu w XVIII stuleciu. Religijni i społeczni reformatorzy zgodnie występowali przeciw katolicyzmowi, przypisując mu zbytnią ekstrawagancję”[4].

Katolicyzm przezwyciężył zatem potężną pokusę gnostycyzmu, tę samą, wobec której uległ protestantyzm, i nie odrzucił precz świata materii (jako nieboskiej), a wraz z nią również historii i sztuki w ową materię inkarnowanych. Kultura przestała być w katolicyzmie domeną Platońskich „kopii kopii” oraz oszustw i zmyśleń przebiegłych, zasługujących na wygnanie poetów. Przeciwnie, uznano, że Logos prawdziwe się wcielił w materię, tak jak prawdziwie jest obecny w Chlebie i Winie, a zatem rzeczywiście ją przebóstwił. Również i człowiek zatem - jeśli trwa w Łasce – do pewnego stopnia przebóstwia materię, gdy wciela w nią zamysły swego niematerialnego, subtelnego

ducha. Tu jednak pojawia się pokusa progresywizmu: skoro Bóg jest w świecie materii, a więc i historii, to być może należy zaakceptować historyczną ewolucję pojmowania Objawienia, czyli dogmatu, rytuału, instytucji oraz wynikłą z niej zmienność i różnorodność kultury chrześcijańskiej?

„Ów pogląd na różnorodność kultury chrześcijańskiej nie musi jednak pociągać za sobą ewolucyjnej teorii religijnego rozwoju. - refutuje stanowczo taki pogląd Dawson. Na przebieg tego rozwoju składają się raczej, jak to przedstawia św. Augustyn w swym dziele o dwóch państwach, ustawiczne zmagania obu przeciwstawnych zasad: duchowej i społecznej. Każda epoka jest przełomową dla Kościoła chrześcijańskiego. W każdej epoce Kościół musi sprostać nowej historycznej sytuacji, której problemów nie można już rozwiązać w ten sam sposób, jak w przeszłości. Jedyne twórcze duchowe działanie może zażegnać ów kryzys, i Kościół, w takim stopniu, w jakim tylko on zdoła, ustanawia nowy sposób życia, ponieważ wiąże się on z określoną sytuacją, wobec której instytucja Kościoła staje w danej epoce”[5].

Katolicyzm ma zatem filozoficznie i teologicznie legitymizowalne prawo do tego, by być w świecie - w kulturze i społeczeństwie – przekształcać je, zmagać się z nimi i wywierać nacisk, po to wszakże, by umożliwiać im właściwe samorozumienie. Nie może on – nie tracąc przy tym swej istoty – być jedynie „religią serca”, sprowadzać się do czystej wewnętrzności i prywatności. Nie może „odpuszczać” świata zewnętrznego, przestrzeni kulturalnej i społeczno-politycznej – stałby się wówczas właśnie uciekającym ze świata gnostycyzmem. Ale to nie byłoby jeszcze może najgorsze – najpewniej bowiem zostałyby w końcu

tylko prywatnym hobby „pięknoduchów”. Kultura zaś przemieniłaby się w zaledwie kusy i wątki listkek figowy ludzkiej, egzystencjalnej marności. I taką właśnie w swych wielkich obszarach jest ona dziś.

Tymczasem współczesny katolicyzm – miał sam kształtować kulturę – dał narzucić sobie narrację jemu samemu przeciwną, uwierzył niejako swym nieprzyjaciołom i prześladowcom (apologetom zupełnie innej metafizyki oraz innego modelu kulturowego), wskutek czego wycofał się wstydliwie na marginesy kultury i polityki, pełen poczucia winy za całe zło, które od wieków toczyło Europę. Zrobił więc dokładnie to, czego życzli sobie jego zawzięci wrogowie, pragnący, by z biegiem czasu w ogóle zniknął on ze świata. Idea cywilizacji chrześcijańskiej miałaby zatem wedle nich nieodwołalnie trafić na śmietnik historii – w myśl tego modelu myślowego, który określa się nieraz mianem „pedagogiki wstydu”. Ktoś mógłby tu dodać, iż idea cywilizacji chrześcijańskiej od początku była utopią jedynie, piękną może, sugestywną i budującą, ale tylko wyobrażoną, będącą przeto raczej literacką fantazją niż opisem ongisiejszej rzeczywistości. Nie wiemy i nigdy wiedzieć nie będziemy jak naprawdę było – snuć jest gotów dalek swe wątpliwości sceptyk – a przeszłość z konieczności pozostaje przedmiotem wiary, konstruowanym podług naszych potrzeb, pragnień i wyobrażeń. Sed contra: nawet jeśli to prawda (choć przecież sam ów sceptyk zauważa, że nigdy nie będziemy mieć pewności co do przebiegu minionego), twierdzą, iż przedmiotem wiary warto uczynić właśnie tajemniczą, majestatyczną i wzniosłą przeszłość, a nie jej zohydzoną przez marksizujących krytyków karykaturę. Dlaczegoż mielibyśmy nie wierzyć, iż kiedyś istniała święta, mistyczna i dumna cywilizacja chrześcijańska – zwłaszcza, iż nie jest wiara całkiem bezpodstawną, jak przekonuje przynajmniej część historyków? Już sama taka wiara czyni nas wszak w jakiś sposób szlachetniejszymi. Pozwala w każdym razie

zadość uczynić – przynajmniej w pewnej mierze - wymogom duchowej natury człowieka, będącą wszak najgłębszym wymiarem jego tożsamości:

*Współczesny katolicyzm
uwierzył niejako swym
nieprzyjaciołom i
prześladowcom, apologetom
zupełnie innej metafizyki oraz
innego modelu kulturowego,
wskutek czego wycofał się
wstydliwie na marginesy
kultury i polityki*

„Natura ludzka
zawsze zachowuje
swój duchowy
charakter – swą więź
z tym, co
transcendentne i
Boskie. Jeżeli
spojrzymy na świat
dzisiejszy w
oderwaniu od
przeszłości i
przyszłości, może się
wydawać, że siły

sekularyzmu tryumfują. Stanowi to jednak zaledwie chwilę w życiu ludzkości, bez obietnicy stałości i trwałości. Lekcja historii sugeruje, że są trwałe tradycje, które mogą się stać chwilowo niezrozumiałe, ale które zachowują jednak swą ukrytą moc i potwierdzają swe prawa wcześniej czy później. Odnosi się to do tradycji kultury chrześcijańskiej w dzisiejszych czasach. Nie zanikła ona, utraciła jednak w znacznym stopniu społeczne oddziaływanie i prestiż intelektualny wskutek przemian społecznych ostatnich dwu stuleci, które przeobraziły zarówno systemy edukacyjne, jak i porządek polityczny i ekonomiczny” [6].

Duchowa natura człowieka jest przeto nieredukowalna (choć jej samorozumienie i ekspresja podlegają historycznej zmienności). Jeśli tak, to zgodzić się trzeba także, iż nieusuwalny jest również duchowy wymiar kultury i polityki, będących wszak fundamentalnymi wyrazami życia społecznego – a więc i człowieczej natury. Dziś właśnie żyjemy w czasach, gdy ogromne masy ludzkie straciły zdolność pojmowania Tradycji i siebie samych jako Tradycji tej nosicieli i piastunów. Być może przypomni im o tym zapomnianym „dziedzictwie synów Bożych” zewnętrzne zagrożenie kultury i cywilizacji Zachodu. Być może w większym jeszcze stopniu rolę „budzika” spełnią wewnętrzne choroby owej kultury: jej neurotyczna nienawiść siebie, jej amnezja, jej starcza indolencja wraz z na poły lubieżnym zapatrzeniem na ludy i kultury znacznie młodsze oraz słabiej rozwinięte, w nadziei jakby, iż napicie się ich „świeżej krwi” ją samą także odmłodzi.

Nie odmłodzi. Zresztą nie o witalność samą w sobie tu idzie, a o prawdę człowieka i o to czy człowiek w tym świecie może w owej prawdzie żyć. Jeśli uznamy, że nie – pozostaje gnostycyzm, ucieczka ze świata, choćby i na sposób katarskiej endury, bo oznacza to, że uniwersum jest tylko mrocznym więzieniem, kosmicznym lochem dla zagubionych iskierek światłości. Jeśli jednak – jak naucza wiara katolicka – można godziwie i w prawdzie żyć tu-oto, w ciele i w historii, to zobowiązani jesteśmy o kulturę i historię walczyć, wprowadzać w nich Boży ład i panowanie. Albowiem owa możliwość świadczy o tym, iż historia nie ma celów „naturalnych” - ma ona cel nadprzyrodzony, tak jak człowiek, podmiot tej historii. Jest epopeją zagubionego na pustkowiach kosmosu ludu, który zmierza do swej Ziemi Obiecanej, by tam – z pomocą Boskiego tchnienia - zbudować swoje wieczne królestwo.

[1] Por. <https://dorzeczy.pl/swiat/38532/Realistycznie-patrzac-nasze-czasy-wygladaja-one-apokaliptycznie-Mocne-slowa-kard-Burkea.html>
[dostęp: 05.12.2017]

[2] D. Kowalczyk SJ, *Marsz przez instytucje*, w: „Idziemy” nr 20 (503), 17 maja 2015

[3] J. H. Newman, *Kazania*, przeł. K. Nawratilowa, Kęty 2017, s. 35-36.

[4] Ch. Dawson, *Formowanie się chrześcijaństwa*, przeł. J. Marzęcki, Warszawa 1987, s. 15-16.

[5] Ibidem, s. 17.

[6] Ibidem, s. 26.